

## „ŚLADAMI LUDZKICH ŁEZ”

**Prezentowane fragmenty wspomnień pochodzą z prac nadesłanych przez uczniów gimnazjów na konkurs „Śladami ludzkich łez”, zorganizowany przez OBEP IPN w Poznaniu w 2002 r.**

**Wrzesień 1939 r.\***

**Relacja Heleny Szczerbaluk:**

„Z okrucieństwem wojny rodzina zetknęła się w pobliskiej miejscowości Czyżyków. Wybraliśmy się tam na odpust do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Siewnej. Uroczystość odbywała się na placu przed kościołem. Wtedy Niemcy z broni palnej zaatakowali modlącą się tłum. Wielu ludzi zginęło, byli także ranni. Ale to był dopiero początek. Kilka dni później pojawił się drugi wróg – Rosjanie. Ci natychmiast przystąpili do rozbrajania żołnierzy polskich. Odbierali im broń, którą składali na naszym polu. Polacy, próbując uniknąć niewoli, sami zrywali naramienniki i pozbywali się mundurów wojskowych. Przez kilka dni i nocy czerwonoarmiści gnali ich na wschód, do niewoli radzieckiej”<sup>1</sup>.

**Wspomnienia Teresy Szenajch:**

„W chwili wybuchu wojny, 1 września o godzinie 5.00 mój ojciec otrzymał rozkaz przewiezienia młodzieży poborowej do Przemyśla koło Lwowa. Wiedząc, co może grozić jego rodzinie ze strony Niemców, ojciec postanowił zabrać nas, tzn. moją mamę i brata (Janinę i Jerzego Kasprzaka), ze sobą i przewieźć za Bug do Kobrynia w województwie poleskim. Tam mieszkała rodzina mojej mamy. W ten sposób uniknęliśmy śmierci, ponieważ gdy tylko Niemcy weszli do Gostynia, ojciec był umieszczony na liście jako pierwszy do rozstrzelania. Podobny los spotkałby naszą rodzinę. Przedpoborowi jechali ciężarówkami, a my samochodem osobowym. Już podczas podróży rozpoczęły się niemieckie bombardowania, dlatego też mogliśmy jechać tylko nocą, a w dzień chowaliśmy się po lasach i rowach. Widoki były straszne, rozszarpane przez bomby bydło, spalone bądź też jeszcze palące się miasta i wioski”<sup>2</sup>.

**Deportacje**

**Opowieść Bronisławy Krupkowskiej:**

„Było to 17 kwietnia 1940 roku. Mieliśmy pecha, bo nam powiedziano, że mamy się wyprowadzić 50 kilometrów od rumuńskiej granicy. Wtedy wszystko myśmy wywieźli do naszego wujka, który mieszkał akurat 50 kilometrów od granicy. Miał on po nas przyjechać o trzeciej rano i nas zabrać. Ale niestety. W nocy nagle ktoś zaczął walić do drzwi, moja mama pierwsza wstała i mówi: »Czy ten Józek zwariował?«. No i otwiera te drzwi, a tam NKWD z Ukraińcami. Nic nie zdążyliśmy wziąć, tak jak staliśmy, tak nas wywieźli, z tym że bardzo dobry był ten Rosjanin – pozwolił, jak mu mama powiedziała, że mąż jest w młynie, to wystali tych żołnierzy po niego, no i mama mówi, żeby mąki chociaż worek dał, bo

\* Śródtytuły pochodzą od autorów opracowania.

<sup>1</sup> A. Juszczyzyn, *Z tułaczich wspomnień rodziny Szczerbaluków*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Heleny Szczerbaluk.

<sup>2</sup> M. Szenajch, *Śladami ludzkich łez*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Teresy Szenajch.

jedziemy w nieznanie. To on nam na to, że tak, ale nie jeden, tylko dwa nam da, ale nie mamy nic nikomu o tym mówić. To nam na początek bardzo pomogło. W wagonie nie mogliśmy nic gotować, mąka więc wtedy akurat się tam nie przydała. Podróż przeżyliśmy tylko z takiej łaski, że na postojach Rosjanie rzucali nam to, co mogli, do jedzenia. Jechaliśmy w bydlęcych wagonach, była tam tylko dziura na środku, gdzie załatwialiśmy potrzeby i skąd braliśmy śnieg do picia. Do jedzenia w czasie transportu dawali nam tylko wiadro bardzo stonych śledzi i pół wiadra wody. Ale to było nic... Bo przecież po tych solonych śledziach mieliśmy o wiele większe pragnienie. Podczas podróży trafiałam na różnych enkawudzystów. Byli tacy, co wpadali do wagonów i wyrzucali na śnieg nie tylko ciała zmarłych, ale także tych, co byli ciężko chorzy... Wtedy najwięcej zmarło dzieci i starców. Dowieźli nas aż do Kazachstanu, do kotchozu”<sup>3</sup>.

### Relacja Kazimierza Bazanta:

„Przyszli po nas 13 kwietnia [1940 r.]. Oczywiście jeszcze przed świtem. [...] Łomot w drzwi i okna postawił nas na nogi. Weszli i zaraz o ojca zapytali. Ojciec przewidział, że będzie aresztowany, ponieważ służył w policji. [...] Dowiedział się o masowych aresztowaniach w październiku i na początku listopada uciekł przez Bug na zachód do strefy okupacji niemieckiej. [...] Zapakować się matka nie chciała, rozpaczła cała przerażona, bo zdawała sobie sprawę, co to jest. Kiedyś już uciekała przed nimi. Wcześniej mieszkała za wschodnią granicą, tak więc wiedziała, czym jest władza radziecka, czym pachnie. Przerażona była całą tą sytuacją, niemniej to nic nie pomogło. Sąsiedzi pomagali nam się pakować. Wyjątkowo trafił się nam oficer, który owszem wykonywał swoje rozkazy, ale naprawdę był bardzo wielkoduszny, jak na oficera NKWD. Pozwolił nam zabrać to, co chcieliśmy. To było zaskakujące, bo niektórym pozwalano wziąć tylko walizkę. A tak to matka zabrała i trochę rzeczy do jedzenia, butelkę jakiejś wódki miała, to zabrała na drogę, ubrań, pościeli itd. Te wszystkie najbardziej potrzebne rzeczy.

Zawieźli nas na stację kolejową, a tam nieprzebrane tłumy. Tysiące ludzi ładowali do wagonów. [...] Ja wiem, że było około 50 osób w naszym wagonie i sąsiednich. Jako ubikacja to był otwór, dookoła 4 deski i to wszystko. Stało to przy drzwiach i to była ubikacja. Później kobiety zmodernizowały to, ponieważ wszyscy się krępowali tam załatwiać, więc to było straszne. Nie było prawie nic do jedzenia. Najczęściej dostawialiśmy na stacjach wrzątek. Jechaliśmy 2 tygodnie, gdy nas wyładowali i na stacji staliśmy 2–3 dni, a 30 kwietnia byliśmy w Pawłodarze. [...] Przewieźli nas promami na drugą stronę Irtysza. Nad nim wyrzucili nas. To był 30 kwietnia”<sup>4</sup>.

### Opowieść Heleny Szczerbaluk:

„Było to nocą z piątku na sobotę 10 lutego 1940 roku. Enkawudziści przyszli około godz. 3.00, załadowali mocno kolbami w drzwi i zażądali ich otwarcia. Całą naszej wystraszonej rodzinie zakomunikowali, że *my was pieriesiedlajem w Kamień, obłaść Podolskaja*. Dali nam 40 minut na przygotowanie się do wyjazdu. [...] Zima tego roku była bardzo ostra, śniegu dużo, a my w ciszy wolno posuwaliśmy się do przodu. Mój młodszy dziewięcioletni, przemarznięty brat popłakiwał w drodze. Rodzice na zmianę nieśli go na plecach. Nasze myśli zaprzętały pytania – co z nami robią, jaki czeka nas los? [...] We Lwowie załadowano nas do wagonów towarowych, które były pilnie strzeżone przez pieszych i konnych enkawudzystów. Wagony były bardzo zatłoczone. Jechało w nich około 75 osób. Wokół ścian, w trzech poziomach ustawiono drewniane prycze, na których siedzieliśmy poowijani w pierzyny, które mama zdążyła zabrać. Byliśmy okropnie zziębnięci i głod-

<sup>3</sup> K. Stachowiak, *bez tytułu*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Bronisławy Krupkowskiej.

<sup>4</sup> O. Bryl, *Ludzie na ziemi nieludzkiej*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Kazimierza Bazanta.

ni. Nie zabraliśmy żadnej żywności. W domu w dzieży pozostało ciasto do wypieku chleba. Co dwa, trzy dni transport zatrzymywał się i otrzymywaliśmy wtedy stawę i wodę. Była to niewielka porcja kaszy owsianej i letnia woda do popicia. W czasie kolejnego postoju usuwano z wagonów ciała zmarłych. Zwłoki, wśród płaczu i rozpaczki rodziny, wrzucano w śnieg i pociąg ruszał dalej. Po miesiącu podróż dobiegła końca. Wyszadzono nas w tajdze na stacji Ałzamaj, około 100 km od Irkucka<sup>5</sup>.

### Wspomnienia Teresy Szenajch:

„W nocy z 20 na 21 czerwca 1941 r., na dwa dni przed wojną niemiecko-rosyjską, przyszli enkawudziści i zapukali do drzwi, wołając »otwierajcie drzwi« – weszło ich trzech z oficerem na czele i kazali zabrać ze sobą tylko potrzebne rzeczy osobiste i trochę żywności na drogę. Na to mieliśmy tylko 15 minut, do tego jeszcze kazali patrzeć na ich ręce, bo oni przeprowadzali rewizję. Zawieziono nas ciężarówką na stację kolejową i załadowano do wagonów towarowych. W wagonie było około 40 osób dorosłych i dzieci. Ubikacja to było zbite z desek siedzenie i dziura w podłodze. Całość nie była niczym osłonięta. Okna były okratowane, drzwi wagonu były bardzo gorące, bo lato 1941 r. było upalne. Na stacji, w czasie postoju, pociąg był otoczony przez wartowników uzbrojonych w karabiny. O żadnym wyjściu z wagonu nie było mowy<sup>6</sup>.

### Opowieść Salomei Wawrzyniak:

„Zostałam deportowana 20 czerwca 1941 r. Wtedy miałam 18 lat, byłam praktycznie najstarsza, ponieważ mój brat ukrywał się przed władzami, gdyż inaczej zostałby osadzony w więzieniu. NKWD okrążyło dom około drugiej nad ranem. [...] Ja i moja druga siostra zaczęłyśmy pakować to, co wpadło nam pod rękę. Trochę mąki, coś do jedzenia, ubrania, wzięliśmy tyle i nam pozwolono. Zawieźli na stację, ale wtedy wagonów jeszcze nie było, więc wysadzili nas na łące i kazali czekać. Otoczyło nas wojsko, aby nikt nie mógł uciec. Przyprawdzili bydłce wagony, do których nas pousadzano w dużych ilościach. W wagonie była zrobiona dziura, która służyła jako ubikacja, nie była ani osłonięta, ani przykryta. [...] Przez dwa tygodnie dostaliśmy tylko raz trochę zupy. Nic więcej. Ani wody. [...] zawieźli nas aż do Barnautu (500 km za Nowosybirskiem), czyli około jedenastu tysięcy kilometrów. Nie mogliśmy ani siedzieć, ani stać... No, ludzie kochani. Wyszadzili nas na łące 2 km od miasta i kazali czekać, na początku nie było tam nawet baraków. Kto miał coś do jedzenia, to na kamieniach próbował przyrządzić ciepłe stawy<sup>7</sup>.

### Relacja Haliny Zwierzchowskiej:

„Siostra była prawie niemowlęciem, brat pięć lat, ja cztery. Nie pamiętam, jak długo ojciec się ukrywał. W każdym razie pamiętam tamte czasy, gdzie ciągle przychodzili ci ruscy żandarmi pytając, gdzie jest ojciec. [...] Ojciec ukrywał się w lesie. [...] Bardzo mi w pamięci utkwił ten okres zimy. Mama z małymi dziećmi chodziła w nocy do ojca, żeby mu zanieść jakieś pożywienie. [...] żandarmi przychodzili każdego dnia do domu i pytali, gdzie się znajduje ojciec. Wiedzieliśmy doskonale, ale mama nam ciągle tłumaczyła, że o tym mamy nikomu nie mówić, bo jeśli się dowiedzą, to ojca schwytają i rozstrzelają. Nie pamiętam, jak długo to trwało, aż pewnej nocy skoro świt przyszli żandarmi, było ich kilku, i powiedzieli mamie, żeby spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i że wywożą nas. Nie powiedzieli dokładnie, gdzie nas wywożą, załadowali nas w ciężarowy samochód i wywieźli. Tego okresu, w którym nas więźli i jak długo to trwało, dobrze nie pamiętam.

– W którym roku to było?

<sup>5</sup> A. Juszczyżyn, *op. cit.*

<sup>6</sup> M. Szenajch, *op. cit.*

<sup>7</sup> K. Stachowiak, fragment pracy opartej na relacji Salomei Wawrzyniak.



Praca Aleksandry Gawęł, wyróżniona w konkursie szkolnym „Śladami ludzkich łez”

– To było w 1952<sup>8</sup> roku. Wtedy nas wywieziono.  
 – Jak długo trwała podróż?  
 – Podróż odbywała się przeszło miesiąc. Przypominam sobie podróż w tych wagonach. Ja mając cztery lata zdawałam sobie sprawę. Najgorszy był płacz mojej siostry, która mając półtora roku, ciągle krzyczała, że chce do domku i do domku. Jak pociąg stał, to mama nie mogła wytłumaczyć, dlaczego nie jedziemy do domu. Ale jak pociąg ruszał, wtedy mama mówiła jej, że właśnie jedziemy do domu. W tych wagonach wiadomo: choroby różnego rodzaju, biegunki. Odżywialiśmy się wszyscy równo. Tylko raz dziennie był posiłek. Nam posiłek kojarzył się z żandarmami, którzy przemieszczali się po dachach wagonu i sprawdzali, czy wagony są zamknięte, bo wszystko było zamknięte na ogromne zamki i zasuwę i potem właśnie następował łoskot tych biegnących żandarmów i odsuwających te zasuwę. Jak zwierzętom stawiali wiadro z tymi dostownie pomyjami, którymi się żywiliśmy<sup>9</sup>.

### Syberyjska codzienność

#### Wspomnienia Bronisławy Krupkowskiej:

„Najczęstsze choroby, jakie tam panowały, to malaria, tyfus, szkorbut, wszy, pchły, zapalenia płuc, gruźlica. Lekarstw żadnych nie było. Jak ktoś już zachorował, to musiał zdać się na łaskę takich babek, które leczyły w kotłochozach, albo próbować leczyć się jakimiś innymi metodami.

<sup>8</sup> Rodzinę Haliny Zwierzchowskiej deportowano w ramach powojennych represji wobec ludności polskiej, która pozostała w ZSSR po 1945 r.

<sup>9</sup> O. Bryl, *op. cit.*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Haliny Zwierzchowskiej.

Miejscowi ludzie naprawdę nam pomagali. Wiele osób pewnie przeżyło Sybir tylko dzięki nim. Każda narodowość obchodziła swoje święta. Pierwszy dzień Święt Bożego Narodzenia mieliśmy wolny od pracy, ale w Wigilię i drugie święto musieliśmy iść<sup>10</sup>.

### Opowieść Teresy Szenajch:

„Mieliśmy ze sobą trochę żywności, na razie więc głód nam nie groził. To nadeszło później, już na miejscu naszego pobytu w Barnaul – 9 tys. km od Warszawy. [...] przyjechaliśmy do miasta Barnaul w zachodniej Syberii, gdzie po dwóch tygodniach dotknęliśmy stopą stałej ziemi. Umieszczono nas w namiotach ogrodzonych drutem kolczastym oraz strażą NKWD. W tym obozie, gdzie było kilka tysięcy ludzi, byliśmy około dwóch miesięcy. Tam zachorowałam bardzo poważnie na dyzenterię, byłam bardzo głodna i najadłam się, jak moja babcia nie widziała, pomidorów. Zabrano mnie do szpitala. Jakoś mnie uratowali, ale choroba zostawiła po sobie ślad na całe życie”<sup>11</sup>.

### Relacja Heleny Szczerbaluk:

„Na stacji Ałzamaj 10 marca czekały na nas sanie zaprzęgnięte do traktorów. [...] Korowód saní ruszył w głąb tajgi. Tam przygotowano dla nas baraki. Były one wielkie, wykonane z beli sosnowych, uszczelnione mchem, strasznie zapchłone i zapluskwione. Posiadały dwoje drzwi, które były pilnie strzeżone przez strażników. Wzdłuż ścian baraków ustawiono wąskie drewniane prycze, na których spały najczęściej dzieci. Ze względu na tłok rodzice całe noce siedzieli w nogach dzieci. I tak było przez cały długi rok. Na środku baruku stał piec żelazny, który ogrzewał pomieszczenie. [...]

Dzienne wyżywienie było bardzo skromne. Najczęściej był to wodnisty kapuśniak oraz trzystugramowa porcja chleba. Chleb był na kartki. Za porcję zupy płaciliśmy 1,80 rubla. Niewystarczające racje żywnościowe i ciężka harówka przy wyrębie i karczunku lasu powodowała, że ludzie słabli, chorowali, tracili siły i umierali. Byłam świadkiem śmierci moich dwóch kolegów z Gajów koło Lwowa: Józka i Karola. Zmarli z wycieńczenia. Zmarło też dwoje dzieci naszej sąsiadki Magdy Juszcyszyn. Tam też urodziła się jej córeczka Helenka, z którą szczęśliwie wróciła do Polski.

Życie utrudniały nam również roje muszek. Twarze zabezpieczaliśmy sobie siatkami. Od czasu do czasu pojawił się stary ruski lekarz, do którego zgłaszali się po pomoc ludzie chorzy, wycieńczeni, poranieni, a on wszystkim ordynował jeden lek – jodynę i wysyłał do pracy ze słowami: »ładna, ładna, na robotu uchadi«. [...]

W czasie naszego pobytu na Syberii ludzie nie modlili się głośno, nie śpiewali pieśni religijnych, nie obchodzili żadnych świąt kościelnych. Wszelkie oznaki religijności były przez strażników wyśmiewane i wyszydane. Szykanowano ludzi modlących się, dokuczano nam, stawialiśmy się obiektem okrutnych żartów.

Ale wcale nie znaczyło to, że na tej nieludzkiej ziemi, gdzie tylko ciężka praca, głód, choroby i śmierć – zapomnieliśmy o Bogu. Przez cały pobyt na Syberii, a później w Kazachstanie, mieliśmy ze sobą ten święty obrazek. Była to pamiątka I Komunii Świętej mojego brata. W noc aresztowania 10 lutego 1940 roku brat wyjął go z ramki, złożył na czworo i schował pod czapkę. W najtrudniejszych chwilach pod osłoną nocy wyjmowaliśmy ten obrazek i modliliśmy się w ciszy, prosząc Boga o pomoc, opiekę i przetrwanie. Obraz ten wrócił z nami do Polski w roku 1946 i przechowywany jest w naszej rodzinie jak największa relikwia”<sup>12</sup>.

### Wspomnienie Bronisławy Krupkowskiej:

„[...] stanął barak, w którym nie było drzwi ani żadnych izb, więc wszyscy kładli się na ziemi koło siebie jak bydłaki. Rozdzielili nas. Chłopów do innej pracy, nas do innej. Porobili

<sup>10</sup> K. Stachowiak, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Bronisławy Krupkowskiej.

<sup>11</sup> M. Szenajch, *op. cit.*

<sup>12</sup> A. Juszcyszyn, *op. cit.*

brygady i zaczęliśmy pracować... Ciężko pracować. Kopali doły do ogrodzenia i budek strażniczych. Słupy były wkopywane na półtora metra w głąb ziemi i szerokie na pół metra. Kiedy Niemcy wkroczyli w głąb Rosji, zaczęto nas wysyłać do pracy w lesie. [...] Aby wyrobić normę, trzeba było zrobić 14 kubików, za które otrzymywało się 600 gram czarnego chleba. Na początku nie wyrabiałam normy. Jedzenia żadnego nie było... Tylko pokrzywa i woda. W obozie zaczęły panoszyć się choroby, puchliśmy z głodu i robić już nie mogłam, ale musiałam. Najpierw pracowałam z tatą, a później z jedną dziewczyną – Tanią, która dziś mieszka koło Działoszyna. Nie umiała w ogóle siekiery w rękę trzymać. [...] Normy nie mogłyśmy wyrobić. Jak ścieliśmy sosnę, to już byłam wykończona, aż pewnego razu położyłam się na sośnie i zaczęłam płakać... Płakałam tak długo, aż zasnęłam. [...]

Zimą było do 50 stopni mrozu. Tak, że jak się miało kubek wody, to jak go obróciłeś, to wypadał lód. A latem za to do 50 stopni gorąca, że jako się na słońcu ugotowało... A węży, żmij... To szkoda mówić, nawet pyton był. [...]

Przyszła wiosna, a nam już zabrakło rzeczy na wymianę. Wtedy zaczęły sosny wypuszczać takie małe szyszeczki, a potem rosną z nich młode gałęzie. Wtedy te szyszeczki to była sama żywica. No i ja je łałam i jadłam. A w pracy jak sosnę ścieliśmy, to gałęzie musieliśmy obrębać gładziutko. A na czubku była młoda kora. To jak się siekierą ten czubek ocieło, obdarło – bo wiosną samo odchodziło, to siekierą się tą miążgę oskrobało i się to jadło. To było gorzkie, ale z głodu wszystko się jadło. [...]

Raz w miesiącu mieliśmy przerwę od pracy, niedziel nie było wolnych żadnych, Święt Bożego Narodzenia ani Wielkanocy nie obchodziliśmy. Ale za to w święta rosyjskie mieliśmy wolne. Było to 1 Maja i w święto rewolucji październikowej. [...]

Za wyrobienie w niedzielę więcej, niż była norma, dawali nagrody. No i ja raz dostałam podwójny metr takiej wetenki brązowej na spódnicę. Dwa razy na sukienkę dostałam. A raz dostałam całe ubranie watowane. My z Józją tak się wprawiliśmy, że w niedzielę nieraz zrobiliśmy sześć norm. Jak przychodziła niedziela, to zawsze wybierałyśmy te najlepsze sosny, nie za grube, i żeby mało gałęzi miały. [...]

Za wyrobienie normy dostawało się 600 gram chleba, a reszta w domu dostawała 200 gram. I tak myślę sobie, że to niemożliwe, by tyle nam dawano, bo 600 gram to cały bochenek, a nam dawano tylko malutki klinik, że jak się nadusiło, to ciemna woda ciekła.



Praca Aleksandry Goździk, wyróżniona w konkursie szkolnym „Śladami ludzkich łez”

[...] W sumie mieliśmy 800 gram na całą rodzinę, a przecież nie brałam wszystkiego tego, co było moje, dla siebie, tylko dzieliłam się z nimi. Bo przecież te dzieci właśnie rosły<sup>13</sup>.

### Opowieść Kazimierza Bazanta:

„Następnego dnia, 1 Maja, oczywiście wielkie święto w Kraju Rad. Przyszło do nas kilkudziesięciu komsomolców i oczywiście zbierali grupami ludzi i tłumaczyli, jakie to nas dobrodziejstwo spotkało przez to, że znaleźliśmy się tutaj, że my dopiero tutaj okrzepniemy ideologicznie, wyprostujemy sobie rozumy, że będzie nam bardzo dobrze, że mamy raj na ziemi, czego nie mieliśmy w kapitalistycznej Polsce. Wszyscy kpili z nich powszechnie, bo dobrze wiedzieli, czym jest Kraj Rad i co o nim wiemy. Nie można było wszystkiego mówić, bo to groziło niebezpieczeństwem. W każdym razie bardzo niezadowoleni komsomolcy skończyli zebranie powiatu i poszli. [...] Mieszkaliśmy początkowo w oborze z czterema rodzinami. Jeden kął dla każdej rodziny składającej się z trzech, czterech osób. Spało się na podłodze. Mamę po jakimś tygodniu, dwóch przerwucili do budującej się szkoły we wsi. Pracowała tam normalnie jako robotnik. Spaliśmy na budowie.

– Czyli kobiety budowały szkołę?

– Tak. Nosiły cegłę, wapno, piłowały drzewa. [...] Gorąco. Piekielnie gorąco<sup>14</sup>.

### Relacja Haliny Zwierzchowskiej:

„Mama z ciotką, z którą jechaliśmy, znalazła jakąś taką lepiankę, w której było kilka rodzin, i tam oni rozpalili ognisko. Znaleźli jakiś chrust od bawełny i tam zaczęliśmy się przy tym ognisku grzać. Zaczęło się wokół nas gromadzić mnóstwo ludzi tam mieszkających. To byli mieszkający tam Kazachy [Kazachowie], Gruzini. [...] Tam oczywiście znaleźliśmy się bez ojca. Mama zaraz musiała iść do pracy. My jako małe dzieci zostaliśmy sami. Mama pracowała na polu przy uprawie bawełny. To była praca bardzo, bardzo ciężka ze względu na upały. Dochodziło tam do przeszło 50 stopni. [...] Jednym z takich horrorów, które mi utkwiły w pamięci, były gady. Do dzisiaj nie mogę oglądać filmów przyrodniczych z gadami, bo tam właśnie tych gadów było mnóstwo, w tych ziemiankach, co myśmy mieszkali. To wychodziło gdzieś z ziemi i pełzało. To było w wodzie, gdzie myśmy się kąpali. Te kanały nazywały się aryki. Gdy się kąpaliśmy, węże potrafiły się zaplątać za szyję i za nogi. Ten poślizg i to zimno czuję do dzisiaj tego dnia<sup>15</sup>.

## Powroty

### Wspomnienie Heleny Szczerbaluk:

„O tym, że wojna się zakończyła, dowiedzieliśmy się od brygadzysty (Tatara). Ożyła w nas nadzieja na szybki powrót do Polski. Nadal pracowaliśmy w kołchozie, ale stosunek Rosjan do nas uległ poprawie. Mogliśmy bez przeszkód chodzić do Ałma Aty, a nawet odwiedzać tam cerkiew prawosławną.

Przez jesień i zimę 1945 roku przygotowaliśmy się do wyjazdu do Polski. Mama suszyła chleb na drogę. Pod koniec kwietnia 1946 roku otrzymaliśmy dokumenty i pozwolenie na wyjazd. 27 kwietnia 1946 roku nasz transport ruszył z Ałma Aty. Podróż trwała miesiąc, ale już w całkiem innej atmosferze. Ludzie byli szczęśliwi, radośni, ale też niepewni. Niepokoiłi się o swoje rodziny, o miejsce zamieszkania.

Pod koniec maja 1946 roku nasz transport przybył do Polski. Wożono nas z miasta do miasta, nie pozwalając opuszczać wagonów. P[raństwowi] U[rząd] R[epatriacyjny] zaopatrzył nas w chleb i wędrówka po Polsce trwała nadal. Koniec naszej tułaczki nastąpił w Szczecinie. Tutaj wyładowano nas i zajęliśmy niewielkie mieszkanie w mieście<sup>16</sup>.

<sup>13</sup> K. Stachowiak, *op. cit.*

<sup>14</sup> O. Bryl, *op. cit.*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Kazimierza Bazanta.

<sup>15</sup> O. Bryl, *op. cit.*, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Haliny Zwierzchowskiej.

<sup>16</sup> A. Juszczyżyn, *op. cit.*

### Opowieść Bronistawy Krupkowskiej:

„W kołchozie przebywałam do czerwca 1946 roku. Powrót był na pewno lepszy niż podróż w tamtą stronę. Jak się dowiedzieliśmy, że możemy jechać [...], a ja miałam jeszcze kłopot, bo legitymacja, którą miałam, była wystawiona na ojca, a on już nie żył. Mama mogła jechać, ale my nie. Więc poszłam, a nie było już tego przewodniczącego, co na początku, bo był na wojnie, był nowy. Powiedział mi, że pojedzie niedługo podwoda do Semipałatyńska i mogę pojechać i załatwić. Wzięłam wszystkie papiery, pojechałam i załatwiłam wszystko. Dopiero wtedy mogliśmy wszyscy razem jechać. Wracaliśmy także w wagonach bydłowych, a ponieważ to nie była zima, było trochę lepiej. Jechaliśmy także pod eskortą strażników”<sup>17</sup>.

### Relacja Salomei Wawrzyniak:

„Powrót do kraju był taki: razem z Józią pracowałyśmy w lesie i wyrabiałymy normę. Buchalter przyszedł do lasu i spotkał nas idące, ja z siekierą, a Józia z piłą przerzuconą przez ramię. Tak szłyśmy i rozmawiałymy, a on do nas powiedział, że przyszło rozporządzenie i wracamy do Polski. A przedtem, kiedy mówiło się, że my i tak wrócimy do Polski, powiadali, że się nam to nie uda, bo nasza Polska już martwa jak matka, która umarła, nie wstanie z grobu, tak i nasza Polska też nie. [...] Doszliśmy do tego baraku i myśmy jeszcze nie wiedziały, czy oni tutaj wiedzą, że wracamy do Polski, czy też nie. Stanęłyśmy na środku korytarza i zaczęłyśmy krzyczeć, że wracamy do Polski. Wtedy wyszła do nas mama i powiedziała spokojnym głosem, że tutaj już dawno wiedzą od samego rana, a myśmy się urwały jak jakie dwie sarny. Tej zimy było bardzo dużo śniegu – 120 cm. Jak przyszedł kwiecień, to ten śnieg zaczął raptownie tak topnieć i niby śnieg był, a pod spodem woda. I podmyło tory, tak że (to było w marcu) i cały miesiąc siedzieliśmy. [...] A do domu nas 5 tygodni więzi”<sup>18</sup>.

### Opowieść Haliny Zwierzchowskiej:

„Całe moje życie, od kiedy pamiętam, byłam bardzo taka samodzielna. Wydaje mi się, że byłam ponad wiek nadobowiężkowa. Moje całe dzieciństwo i całe życie to była praca, praca i jeszcze raz praca. Jeszcze jak byliśmy w Grodnie i ojciec się ukrywał, nie było środków do życia. Pastam krowy u sąsiadów i za to dawali mi kolację. Pastam krowy w wieku pięciu lat. Może nie byłoby to dziwne, gdyby te krowy wypędzone były na łące i byłoby w miarę bezpiecznie, ale to było przy lesie, a w tych okolicach były wilki. Cały czas byłam pod tym strachem, że wyjdą wilki. Wiadomo, jak dzieci boją się wilków. Brat tam chodził do szkoły i jak mama go prowadziła przez las, zapalali pochodnie ze słomy i tak szli, bo normalnie wychodziły wilki z lasu. Wracając do Polski, rodzice w sumie też nie wiedzieli, co ich tutaj czeka”<sup>19</sup>.

„W 1956 roku po śmierci [Józefa] Stalina [w 1953 r.] wyszło takie rozporządzenie, że każdy może wyjechać tam, gdzie chce. Część osób po prostu wracała na tzw. za Bug, tam gdzie wcześniej mieszkali. Wiem, że kuzynka ojca wróciła do tego Grodna. Losy jej były fatalne. Bardzo załowała tego, że tam została. [...] Powroty były podobne jak podróże w tamtą stronę, także i z powrotem. Wydaje mi się, że rodzice z jakąś wielką nadzieją wracali, ale też z niepewnością. Podróż trwała przeszło miesiąc w tych wagonach bydłowych. Mnóstwo ludzi tam było. Przeżyliśmy wiele stresów. [...] Wracając do Polski, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ja nie wiedziałam, co to jest, nie miałam zupełnie żadnego wyobrażenia, co to jest Polska. W sumie wydaje mi się, że bardziej bym się cieszyła, gdybyśmy wracali w okolice tamtego domu, gdzie doskonale pamiętam, jak w tym domu było, i mile to wspominam”<sup>20</sup>.

<sup>17</sup> K. Stachowiak, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Bronistawy Krupkowskiej.

<sup>18</sup> K. Stachowiak, fragment pracy napisanej na podstawie relacji Salomei Wawrzyniak.

<sup>19</sup> O. Bryl, op. cit., fragment pracy napisanej na podstawie relacji Haliny Zwierzchowskiej.

<sup>20</sup> Ibidem.